

Ciągle coś nowego - wywiad z Patrykiem Pietrzakiem

Rafał Gawin: Co myślisz o swojej płycie „OK Boomer” ponad rok od premiery? Jesteś zadowolony z jej odbioru? Podoba ci się działalność solowa?

Patryk Pietrzak: Nie analizuję, nie podaję w wątpliwość zasadności nagrania tej płyty. Chciałem to zrobić i jestem bardzo zadowolony, że ją nagrałem. Dość długo zbierałem materiał i czułem, że to będzie coś innego niż dotychczas.

Znalazłem w sieci opinie, że część materiału mogła być przygotowana dla Ted Nemeth.

Może to wynikać z faktu, że pisałem też dla zespołu. Właściwie „OK Boomer” różni się od płyty grupy tym, że piosenki nie zostały wzięte na salę prób. Pokazałem je chłopakom, tylko że nie było już zespołu. Chciałem zrobić coś innego. Ten album nie był przyczyną rozpadu Ted Nemeth, tylko czymś naturalnym, dziejącym się obok.

Czy Ted Nemeth rozpadł się definitywnie?

Określiłbym to inaczej. Przy „OK Boomer” pracowałem z Mateuszem Dziworskim, perkusistą Ted Nemeth. Ta płyta nie powstałaby w takiej postaci, gdyby nie on. Grał, pomagał mi z bitami. Tego rodzaju współpracę zaczęliśmy, jeszcze gdy Ted Nemeth funkcjonował pełną parą. To również on ośmielał mnie, kiedy miałem wątpliwości co do wydawania tego materiału pod własnym nazwiskiem, gdy tak wiele osób było zaangażowanych w jego powstawanie. Teraz razem koncertujemy. Przy okazji wydania tego albumu chcieliśmy coś ogłosić na fanpejdżu Ted Nemeth, żeby ludziom, którzy za nami podążają, dać znak, w którą stronę to idzie. Zespół jest w remisji. Można tak powiedzieć o zespole? Każdy z jego członków oddryfował. Przykrym początkiem obecnej sytuacji była śmierć naszego menadżera, wieloletniego przyjaciela, który zarządzał całą, nazwijmy to, firmą. Wtedy wszystko się zmieniło. Damian (Ekman – przyp. R.G.) był piątym członkiem zespołu. To był zatem początek odchodzenia. Potem Wojtek (Wierzba – przyp. R.G.) musiał definitywnie skończyć z Ted Nemeth, bo zaczął grać dość intensywne koncerty z Baranovskim. A pracowaliśmy wtedy nad trzecią płytą.

I nic nie trafiło na „OK Boomer”?

Jeden utwór – „Requiem aeternam”. Zresztą zostało to zaznaczone – współautorami są wszyscy muzycy Ted Nemeth. Ten utwór zarejestrowaliśmy podczas naszej ostatniej sesji nagraniowej, kiedy też nagraлиśmy „Ściany”, do których powstał nasz ostatni klip. Utwór „Requiem aeternam” nie spotkał się z akceptacją wszystkich członków zespołu, więc wziąłem go na moją płytę. Przyniosłem gotowe tracki z domu. Tak pracowałem nad solową płytą. Przynosiłem nagrania do studia, gdzie z Pawłem Cieślakiem dorzucaliśmy różne rzeczy.

No właśnie, jak jeszcze scharakteryzowałbyś różnice w pracy nad albumami Ted Nemeth a pracą nad „OK Boomer”? Cieślak jest typem producenta „totalnego”, który lubi dużo dodać od siebie. Z korzyścią dla materiału. U ciebie figuruje jako współkompozytor prawie wszystkich kawałków.

W Ted Nemeth po prostu pisałem piosenkę i przynosiłem ją na próbę. Pracowaliśmy nad nią z

chłopakami i później szliśmy do studia, by ją dalej rozgrzebywać. Teraz dużo głębiej wszedłem w home recording. Nagrywałem ścieżki w domu i kiedy uznawałem, że to koniec mojej pracy nad utworem, zanośiłem demówkę i tracki do Hasselhoff Studio. Ponownie odbywał się proces wyrzucania, dodawania, czasami zmiany całego pomysłu. Jednak najczęściej Paweł pracował na rzeczach, które przynosiłem.

Czyli nic się nie zmieniło: z producentem i multiinstrumentalistą Pawłem Cieślakiem współpracuje się bardzo dobrze?

Paweł podchodzi do pracy z dużą dbałością o każdy utwór. Nie boi się ingerować, ale zawsze nadrzędnym celem jest dobro danej piosenki. Może się to podobać lub nie; to specyficzny rodzaj pracy. Ja po prostu lubię pomysły Pawła.

Opowiedz o videoklipach do utworów z „OK Boomer”. Najpopularniejszy, do mało reprezentatywnego, bo najbardziej folkowego utworu „Maryś”, skojarzył mi się z serialem „Wataha”.

Pewnie dlatego, że pojawia się w nim Leszek Lichota. W ostatniej chwili wpadłem na to, żeby przedstawić mu pomysł na klip – wysłałem piosenkę i scenariusz. Bardzo mu się spodobało, choć na początku myślał, że to pieśni maryjne (śmiech). Klip został zrealizowany z Jankiem Cabanem z Agencji Kreatywnej Sweet Jesus. Odpowiadał za reżyserię i zebranie wszystkich pomysłów razem. Natomiast pomysł na teledysk powstał w tym samym momencie, co pomysł na piosenkę – kilka lat temu, gdy w drodze z Warszawy do Łodzi podczas strasznej burzy stałem w korku. Myślałem o master shocie w takiej właśnie scenerii: kamera cały czas odjeżdża od twarzy bohatera, stopniowo ukazując, co się dzieje, pojawia się druga postać itd. Powstało jednak coś innego i jestem z tego zadowolony. A co do warstwy muzycznej utworu, nigdy nie zamierzałem iść w folkową stronę, akurat coś takiego przyszło mi do głowy. Wytwórnia Mystic od początku wierzyła w „Maryś” i promowała teledysk. Potem z Matizem zrobiliśmy lyric video do „Na czarno”. Wytwórnia wcześniej sugerowała, żeby coś takiego wypuścić, więc zapytałem Krzysztofa Ostrowskiego, czy nie zechciałby się tym zająć. Poczytywałbym sobie to za fajną sytuację. Nie miał akurat czasu, ale podpowiedział, że przecież teraz każdy ma w telefonie jakieś filmy, więc dlaczego miałbym tego nie zmontować sam. I to są właśnie dziwnie pomontowane filmy z telefonu.

A jeśli chodzi o trzeci teledysk, do „Toto”, od dawna chciałem zrealizować klip z reżyserem, który klipów nie robi. Zaproponowałem to więc Robertowi Drobnuchowi, dyrektorowi teatru lalkowego Guliwer w Warszawie, z którym poznałem się w Gnieźnie, pracując nad „Pinokiem”. Drobnuch jest twórcą bardzo ciekawych wizualnie spektakli dla dzieci. Wybrałem go, by wyszła z tego fuzja nieszablonowości. Zdjęcia zrobił operator filmowy Michał Stajniak.

Mystic to był twój pierwszy wybór wytwórni?

Wysłałem Michałowi Wardzale trzy pierwsze solowe piosenki – tak jak wcześniej materiał na drugą płytę Ted Nemeth. I dostałem pozytywną odpowiedź. Początkowo nie chciałem wydawać tej płyty w dużym wydawnictwie, tylko wypuścić całość na winylu, zainwestować w 200 sztuk nakładu. To pewnie wynikało też ze zmęczenia, bo z Ted Nemeth mieliśmy trasę za trasą, a każdy z nas musiał dodatkowo pracować zawodowo. Dlatego chciałem odpocząć, odsunąć się od wydawniczego mainstreamu. Potem zasugerowano mi, żebym jednak wydał materiał w większej wytwórni.

Zdjęcia w booklecie płyty wyglądają, jakby powstały w późnych latach 90., co z racji twojego roku urodzenia jest przecież niemożliwe.

Założeniem było ukazanie jakiegoś rodzaju intymności. Wszystko działo się podczas pandemii. Przez rok robiłem u siebie w domu polaroidowe zdjęcia różnych prywatnych sytuacji. Nie wszystkie weszły do książeczki.

Od końca izolacji związanej z pandemią minęło ponad pół roku, a „OK Boomer” już inaczej się odbiera. Umyka kontekst odosobnienia. Może za kilka lat wcale nie będzie istotny.

Gdy nagrywałem tę płytę, nie analizowałem tego. To zapis tamtego czasu. Kontekst pandemii może rzeczywiście nie być ważny po latach, ale gdy teraz na to patrzę, widzę, że pewnych rzeczy po prostu nie mogłem zrobić inaczej. Pamiętam, jak pojechałem do studia do Pawła w trakcie tego totalnego zamknięcia, gdy wcześniej zastanawialiśmy się, czy w ogóle możemy się spotkać – co teraz wydaje się kuriozalne. To przerażające, jak szybko człowiek przyzwyczaja się do nowych warunków. A jaki inny kontekst, według ciebie, może mieć ta płyta?

Widzę tu rzeczywistość, która nie jest zamknięta. Twoje utwory jakby mnie otwierają. Nie czuję duszności, pandemiczności, kresu. To siła tego materiału, że jest ponadczasowy, „szerszy” w wielu znaczeniach. Tylko ten tytuł... Potem przychodzą Fisz i Emade i zgarniają profity z kawałka również zatytułowanego „OK Boomer”.

Nikt z nich nie powiedział: „Hej, nazwiemy utwór tak, jak ty nazwałeś płytę”. A to przecież ta sama wytwórnia. Ale nie mam do tego jakiegoś szczególnego stosunku. Ot, stało się.

Jakie jest twoje podejście do tekstu? Jak pracujesz ze słowem?

Zawsze dążyłem do tego, żeby tekst zamieszczony w booklecie czytało się dobrze bez muzyki. Teksty zapisuję inaczej niż je śpiewam. Tak samo działo się w przypadku Ted Nemeth. Gdy pojawiają się jakieś powtórzenia, to je pomijam. Tekst nie powinien być zbyt obszerny. Jeśli chcę, by konkretnie rozumiano dane zdanie, stosuję w nim odpowiednią wersyfikację. Ważna jest dla mnie forma, „wizualna budowa” tekstu.

W jakim miejscu muzycznie jesteś? Recenzenci mieli problemy z twoją płytą, ponieważ nie bardzo mieści się w ramach gatunkowych. Są tu inklinacje rockowe, ale niektórzy brutalnie określają to jako pop.

Pop dotyczy tego, co popularne. Ja bym to nazwał raczej alternatywnym popem. Także dlatego, że popularności sensu stricto ta płyta mi nie przyniosła. Gdy robiliśmy w studiu „Toto”, Paweł puścił instrumental i powiedział: „Jakiś niezły popik tutaj leci”. Jeżeli ktoś potrzebuje ramek, to w porządku. Nie kluczę na siłę i nie zwodzę, bo to mnie bawi – po prostu cały czas interesuje mnie coś nowego. Jestem przeciwny ironicznemu dystansowaniu się do wszystkiego. Nie chciałbym jednocześnie uderzać w patetyczne tony, że „gatunki muzyczne to dla mnie ograniczenie”. W wielu coś znajduję, czerpię z nich. Często zmieniają mi się upodobania. Od żadnego gatunku nie uciekam, ale też z żadnym się nie utożsamiam. Z Ted Nemeth znaleźliśmy się w szufladce „polski rock gitarowy”. Po drugiej płycie był to worek z Happysad, Strachami na Lachy i Pidżamą Porno. Coś takiego mnie nudzi.

Czego ostatnio słuchasz?

Byłem na tegorocznym Offie w Katowicach i z lubością słuchałem artysty o pseudonimie Franek Warzywa, który wystąpi – tak jak ja – na Great September w Łodzi (po przeprowadzeniu tej rozmowy termin festiwalu został przełożony na październik – przyp. R.G.). Nie chcę filozofować na temat tej muzyki, to było cudownie, beczelnie energetyczne i śmieszne. Również w Katowicach

wystąpił zespół, który bardzo lubię – Diiv. Natomiast ostatnio najczęściej słucham płyty „Blond”, którą wydał Frank Ocean. Niedawno wyszła także płyta Steve’a Lacy’ego „Gemini Rights”. To właśnie cudownie popowa płyta i jednocześnie tak różnorodna, a przy tym bardzo dobrze zaaranżowana. Ponadto interesują mnie rzeczy bliskie hip-hopowi spod znaku SBM Label, jak np. muzyka duetu Kacperczyk.

Jak udaje ci się łączyć działalność muzyczną i aktorską? Z Ted Nemeth dużo graliście, teraz też nie narzekasz na brak koncertów z nowym projektem. Tymczasem działasz również w serialach (wspomnianej „Watasze” czy „BrzydUli 2”) i w teatrze – w końcu aktorstwo to twój wyuczony zawód.

To, co i ile robię, nie jest wynikiem prostej kalkulacji: „teraz trochę zajmę się jednym, a potem drugim”. Po prostu moje życie tak wygląda, że robię te dwie rzeczy. Nie zauważyłem, żeby niekorzystnie na siebie wpływały. Najwięcej problemów przysparza synchronizacja terminów, żeby jedno drugiemu nie przeszkadzało. W Teatrze Kwadrat w Warszawie pracuję od roku 2019, to mój pierwszy etat – uratował mnie finansowo podczas pandemii. Wiadomo, że to do niego muszę dostosować inne rzeczy. Na początku tego roku zacząłem współpracę z Agencją Koncertową Borówka Music. I to działa dobrze – mam koncerty. Tego mi brakowało zaraz po premierze płyty, gdy odbyły się tylko trzy występy. Z reguły w moim życiu różne rzeczy przychodzą, pukają do drzwi i pytają, czy mogą wejść. Staram się pozostawać czujny i mówić im „tak”. Dlatego robię dużo naraz.

Co zatem planujesz jako aktor?

Jakiś czas temu skupiałem się na pracy teatralnej. Od wydania płyty do stycznia tego roku non stop działałem w teatrze. Zrobiłem wtedy dwie premiery: „4000 dni” i „Ciotkę Karola”. To zmieniło mi perspektywę zawodową – latami funkcjonowałem jako freelancer, biegałem za pracą (reprezentuje mnie warszawska agencja, która wysyła aktorów na przesłuchania do ról). Gdy skończył się ten etap pracy w teatrze, od razu pojawił się Bartek Borowicz z Borówki i wróciłem do koncertowania.

A muzycznie?

Obecnie pracuję nad nowym materiałem z moim bratem Aleksandrem Borosiem. Niedawno podsumowaliśmy, ile tego mamy. To będzie zdecydowanie inne od tego, co robiłem do tej pory. Więcej nie mogę powiedzieć, ale prace są zaawansowane. Możliwe, że coś zaprezentujemy podczas Great September. Równocześnie zbieram do szuflady kolejne pomysły, nagrywam. Część z tych działań to zabawa nowymi możliwościami, sprzętem, jaki zakupiłem. Muzycznie dużą inspiracją jest właśnie mój brat, właściwie to zacząłem po prostu pisać teksty do muzyki, którą on tworzy. Interesują mnie sample i bity. Nigdy nie uważałem się za fana hip-hopu, ale doceniam to, jak bezkompromisowo i pomysłowo są zaaranżowane te produkcje. Sporo z nich opiera się na maszynach perkusyjnych, operowaniu samplem, cięciem, reinterpretowaniem; Szczyl nagrał na przykład świetny album – „Polską Florydę”. Kierując się tymi zainteresowaniami, zbieram zatem materiał na jeszcze jedną płytę.

Wywiad ukazał się w „Kalejdoskopie” 10/22.